NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 14 sierpnia 1915. Nr. 33.

„Bohaterom lat 1914—191...“



Uroczystość poświęcenia krzyża pamiątkowego w szpitalu garnizonowym w Krakowie. (✕) Komendant szpitala, starszy lekarz sztabowy dr. Michel.

„Bohaterom lat 1914—191...“

Piękna uroczystość odbyła się na dziedzińcu szpitala garnizonowego w Krakowie. Poświęcono tam krzyż pamiątkowy ku czci bohaterskich żołnierzy w obecnej wojnie. Okazały ten pomnik nosi napis: „Naszym bohaterom — 1914—191...“, nieznany jest bowiem termin skończenia się wojny.

i humanitarny, krzyż będzie mianowicie ozdobiony gwoździami, które wbijać będą wojskowi. Gwoździe sprzedaje komitet po jednej koronie oficerom, a po 20. halerzy żołnierzom, otrzymany zaś stąd fundusz przeznaczony będzie po połowie na Czerwony Krzyż i na rzecz wdów i sierot po poległych wojownikach.

W uroczystości poświęcenia krzyża wzięła udział generalicya z J. E. generałem Kukiem na czele,



„Bohaterom lat 1914—191...“: J. E. jenerał Kuk podpisuje się w księdze pamiątkowej na uroczystości w szpitalu garnizonowym.



Z gorących czasów: Kościół w Chyrowie po odwrocie Rosyan.

Krzyż pamiątkowy, rzeźbiony w drzewie przez nadporucznika Koschau'a, powstał dzięki staraniom komitetu, w skład którego wchodzili komendant sanitarny major Nowak, nadporucznik Wiese, nadporucznik Neuman i inni.

Z pamiątkowym celem połączył komitet także

korpus oficerski, dalej kilka kompanii żołnierzy sanitarnych, ranni, wreszcie zaproszeni goście.

Przybyłych powitał imieniem komitetu major Nowak, poczem starszy lekarz sztabowy, szef szpitala garnizonowego dr. Michel wyjaśnił piękny cel powstania krzyża.

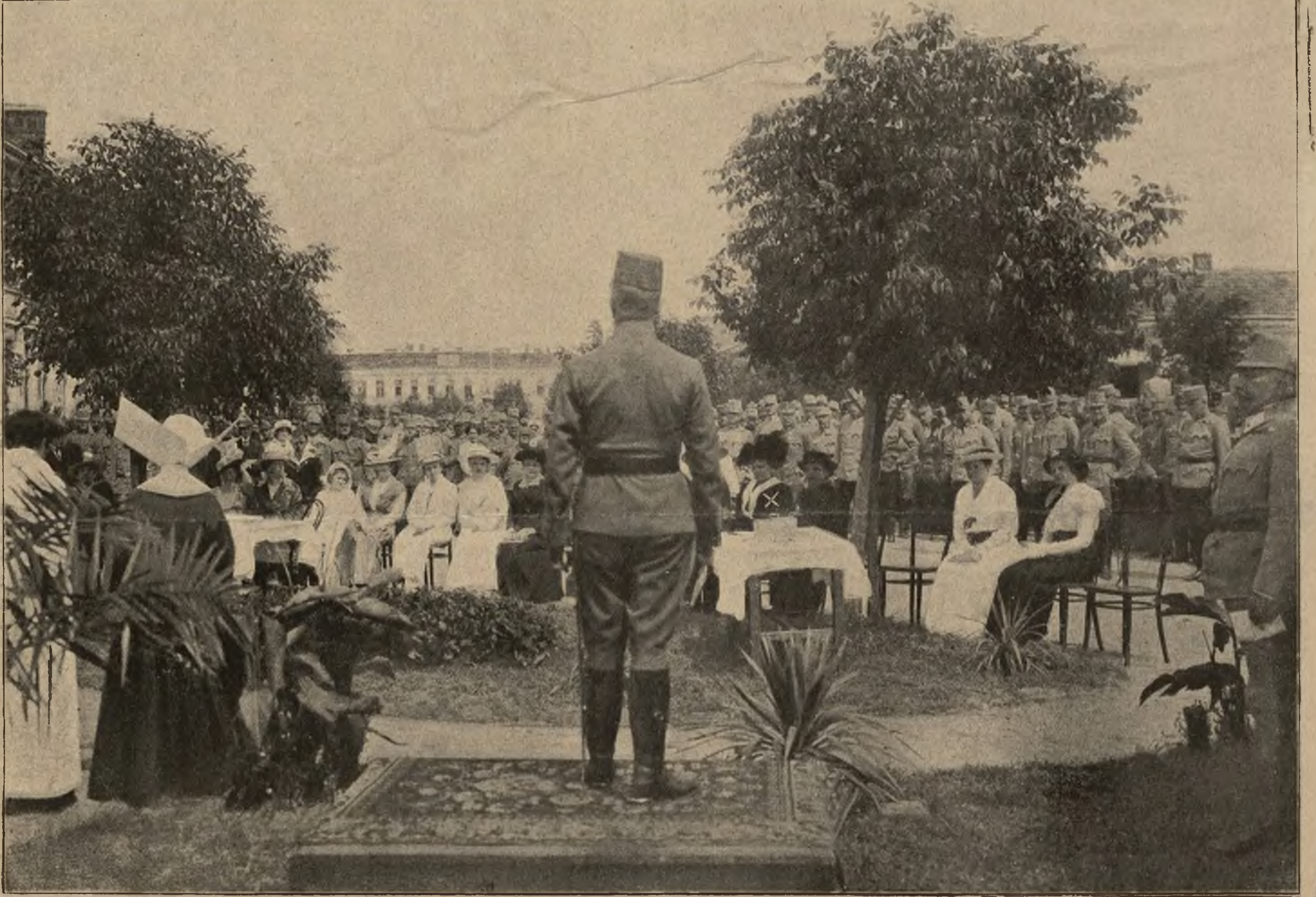
Po przemowach odbyła się uroczystość wbijania gwoździ. Pierwszy gwóźdź wbił J. E. generał Kuk, dalej małżonka jego p. Amalia Kukowa, generalicya, goście i żołnierze.

Uroczystość zakończyło zasadzenie pamiątkowego dębu, pod którym zakopano akt fundacyi z podpisami uczestników.

Klęska powodzi.

Obok klęsk, zadanych przez wojnę, spadła obecnie na nasz kraj nowa klęska powodzi. Jak donoszą z licznych miejscowości kraju, rzeki wystąpiły z brzegów, niszcząc resztki mienia, jakie jeszcze pozostały.

W Krakowie i okolicy wylew Wisły i jej podkrakowskich dopływów Wilgi i Rudawy przybrał wielkie rozmiary i wyrządził ogromne szkody. Szczególnie wielkie szkody wyrządził wylew Wisły na Zakrzówku i Ludwinowie, które to dzielnice znalazły się pod wodą. Prócz tego Rudawa zalała znaczny obszar Błoń, Park dra Jordana, część ulicy Wolskiej, gdzie woda z kanałów wdarła się do magazynów



„Bohaterom lat 1914 191..“: Uroczystość poświęcenia krzyża pamiątkowego w szpitalu garnizonowym w Krakowie. (X) J. E. jenerałowa Amalia Kukowa.

i hali maszyn drukarni Narodowej, suteryn i piwnic Muzeum Czapskich.

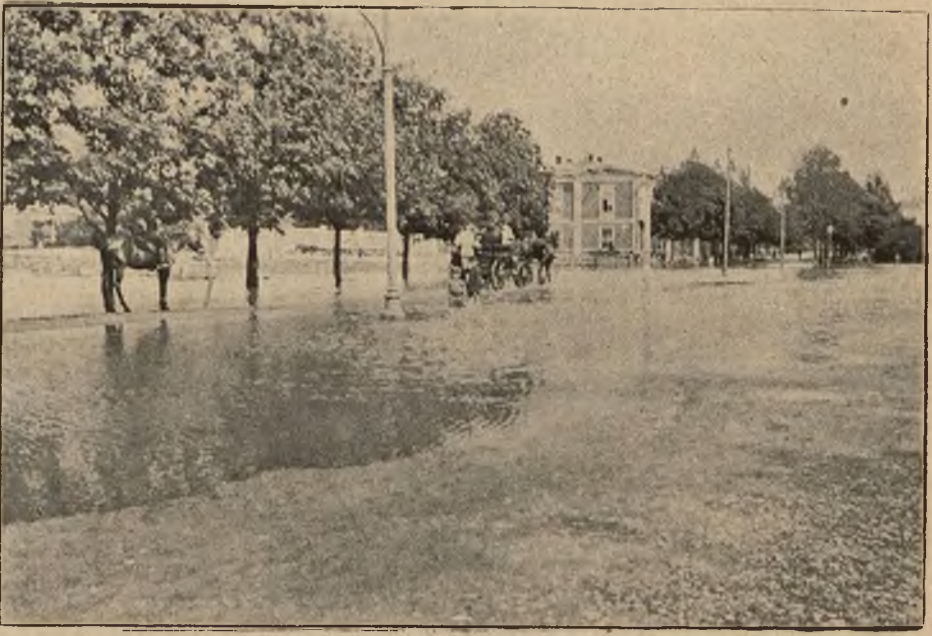
Wylew Wisły objął znaczną, niżej położoną część Zwierzyńca, dalej w kierunku górnego jej biegu wsie Jezierzany, Piekary, Pastwiska, najbardziej zaś ucierpiały Kopanka i Facimiech.

Szkody, jakie ta powódź wyrządziła rolnictwu, są olbrzymie. Gdy się jedzie koleją z Oświęcimia, widzi się na całej przestrzeni wzdłuż toru kolejowego kartofle w niektórych miejscach wyryte, w innych przysypane żwirem na 30 ctm. wysokości. Owies całkiem został wyniszczony. Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich miejscowościach. nawiedzonych powodzią, szkody są nie mniejsze.

I w samym Krakowie powódź wyrządziła dotkliwe straty. Skutkiem przepełnienia kanałów, woda wystąpiła w piwnicach wszystkich domów, położonych na Alei Krasińskiego, Retoryka, Smoleńskiej, Wolskiej, Wygodzie i t. d., zalewając je na wysokości 40 ctm. Nie obeszło się też, niestety, i bez ofiar w ludziach. W Zakrzówku, przy przeprawianiu się wozem miejskim do swego domu, utonął znany w Krakowie właściciel zakładu introligatorskiego przy ul. Brackiej, ś. p. Wojciecd Gigoń z 11-letnią córeczką Aleksandrą. Znalazł również śmierć woźnica Zakładu czyszczenia miasta, który przewoził ś. p. Gigonia, Tomasz Luterym. Wezwana na miejsce wypadku straż pożarna wyłowiła już tylko zwłoki.



Zatopiony lasek świerkowy pod parkiem dra Jordana. **Klęska powodzi:**



U wylotu ulicy Wolskiej w Krakowie.

Nad świeżą mogiłą.

I znowu nieubłagana śmieć zabrała z pośród świata dziennikarskiego swe żniwo. W niedługim czasie ubył z szeregu trzeci, odszedł cicho, jak cicha, ale pełna żmudy była jego praca.

Po krótkiej chorobie zmarł w Krakowie długoletni redaktor „Nowej Reformy“ ś. p. Aleksander Karcz. Umarł w sile wieku, zmożony pracą i dolą galicyjskiego dziennikarza. Bolesne, że rozstał się z życiem w chwili, gdy nad krajem i jego przyszłością lepszej doli świt budzić się poczyna.

S. p. Aleks. Karcz urodził się w Żółkwi 1867 r. Ukończywszy studya medyczne, wstąpił do redakcyi „Nowej Reformy“ w roku 1896 za kierownictwa Adama Asnyka, gdzie oddano mu dział kroniki i sprawozdań miejskich.

Nazwisko zmarłego zrosło się od prawie dwóch dziesiątków lat z „Nową Reformą“. Gdy po studyach uniwersyteckich rozpoczynał zawód dziennikarski, wstąpił do redakcyi tego pisma i nie opuścił już swego posterunku, aż niespodzianie uderzająca choroba powaliła go na łoże, z którego już podnieść się nie miał. Lat dziewiętnaście przepędził przy jednem biurku, a żywy udział w pracy redakcyjnej zdobył mu rychło uznanie i stanowisko. Był to dziennikarz z zawodu i z zamiłowania.



Nad świeżą mogiłą: S. p. redaktor Aleksander Karcz.

Interesowały go zarówno kwestye społeczne i polityczne, zarówno sprawy lokalne krakowskie, które znał wybornie, będąc przez długie lata sprawozdawcą z posiedzeń rady miejskiej, jak technika dziennikarska, którą władał wybornie, nieoceniony dlatego w pracy nad układaniem dziennika, tak jak w redagowaniu biegły i sumienny, pojmujący zawód poważnie, z miarą i taktem. Te dwa ostatnie warunki, tak potrzebne, niezbędne, można powiedzieć, dziennikarzowi wyższej skali, posiadał zmarły.

Działalność ś. p. Karcza nie ograniczała się tylko do pracy na gruncie Krakowa. Ilekroć wymagał tego interes publiczny, udawał się jako delegat Towarzystwa dziennikarzy polskich za granicę. Brał też żywy udział w kampanii prasowej, która się toczyła około sprawy sanacyi stosunków w Muzeum polskiem w Rapperswylu. Jako uczestnik zjazdów Rady muzealnej, odbywających się corocznie przez lat szereg w Rapperswylu, zaznajomił się dokładnie ze stosunkami, panującymi w Muzeum, i w korespondencyach swych, przesyłanych do najpoważniejszych organów prasy polskiej, potrzeby i warunki rozwoju tej instytucyi, tak cennej sercu każdego Polaka, przedstawiał w świetle rzeczowem, dalekiem od animozyi i napaści osobistych.

Obok pracy zawodowej zapisał się zmarły żywo w pamięci ruchliwą i energiczną działalnością swą w zakresie organizacyi zawodowej. Jako członek wydziału „Towarzystwa dziennikarzy polskich“ i prezes „Syndykatu dziennikarzy krakowskich“ pracował gorliwie i z poświęceniem spraw osobistych dla dobra ogólnego, zaskarbiając sobie żywe uznanie i sympatyę w gronie koleżeńskiem.



Rów strzelecki pod Jarosławiem. **Z gorących czasów:**



W okopach pod Jarosławiem.



Z uroczystości wojskowych w Krakowie: Grupa gości, odznaczonych żandarmów i oficerów.

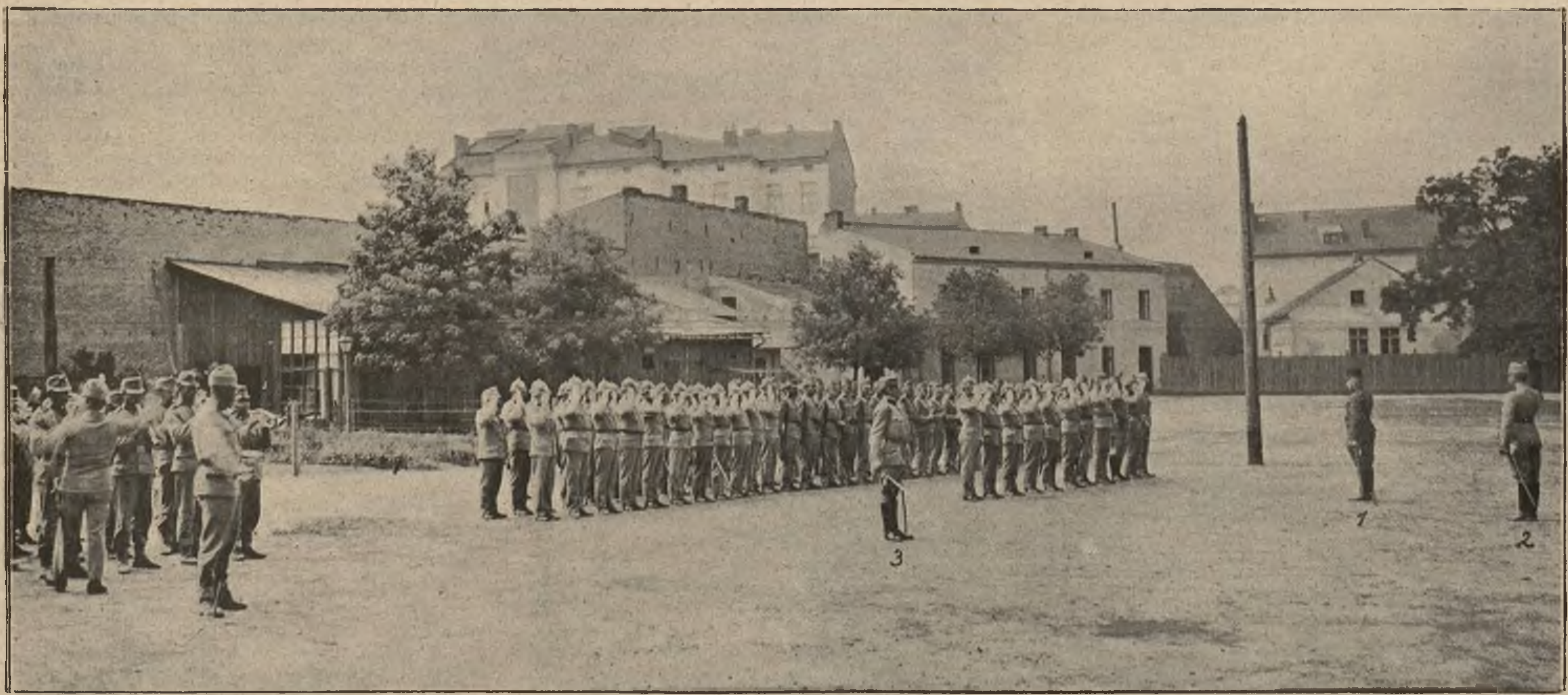
nie otrzymał nadporucznik Sandig za znakomitą działalność podczas wojny.

Prócz tego otrzymali odznaczenia podoficerowie żandarmeryi, a dekoracya ich odbyła się bardzo uroczyście na dziedzińcu koszar żandarmeryi przy ulicy Siemiradzkiego.

W uroczystości wzięli udział zaproszeni goście, a między innymi starosta Kowalikowski w zastępstwie delegata Fedorowicza, pułkownik Dobiecki, radca namiestnictwa Biesiadecki, nadradca magistratu dr. Goliński, komisarz dr. Gulkowski i inni.

Na obszernym dziedzińcu ustawiła się kompania żandarmów pod komendą nadporucznika Sandiga, a przed nią stanęli odznaczeni żandarmi, do których przemówił rotmistrz Dimmel, poczem przystąpił do dekoracyi. Uroczystość zakończyła się defiladą.

Ogółem dwunastu żandarmów zostało odznaczonych, a dwóch otrzymało dyplomy pochwalne od komendy naczelnej. Srebrny medal waleczności I. kl. otrzymali: wachmistrz Wincenty Jurcik i wachmistrz Paweł Czernysz; srebrny II. kl.: wachmistrz Michał Kwaśniewski, wicewachmistrz Józef Rygiel i Franciszek Rojak; bronzowy medal otrzymali: pospolitak Józef Wagner, Wojciech Celiński i Jan Socha. Srebrnym krzyżem zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności odznaczeni zostali: wachmistrz Maurycy Konkal, feldwebel sztabowy Jan Wrona i feldwebel Józef Franek; krzyż zasługi na wstędze medalu waleczności otrzymał feldwebel Gustaw Schüller: dyplomy pochwalne: feldwebel Albin Schmider i Adolf Manie.



Z uroczystości wojskowych w Krakowie: Okrzyk na cześć cesarza po dekoracyi odznaczonych żandarmów. 1. Zastępca podpułkownika Miguli, rotmistrz Rysz. Dimmel. 2. Adjutant nadporucznik J. Reif. 3. Komendant żandarmeryi fortecznej nadporucznik Artur Sandig.

W pamięci Krakowa pozostanie na długo wspomnienie urządzanych na dochód obu tych Towarzystw przedsiębiorstw i widowisk. Bale i reduty prasy stanowiły rokrocznie „clou" karnawału i brała w nich udział cała elita towarzyska Krakowa. Corocznie wiele niezmordowanej pracy poświęcał zmarły organizacyi tych przedsiębiorstw i czuwał nad przeprowadzeniem ich w najdrobniejszych szczegółach. Tą żmudną drogą zdobywał z roku na rok po kilka tysięcy koron, któremi Kraków zasilał fundusze, przeznaczone na emerytury oraz pensye wdowie i sieroce dla tych pracowników pióra, którzy przez całe życie czuwać muszą nad dobrem ogólnem i na czuwanie nad dobrem własnem nie mają już czasu.

Pozostawia też zmarły po sobie, jako najlepszy kolega i towarzysz pracy, serdeczną pamięć i żal szczery nie tylko w najbliższem gronie towarzyszów pracy, ale i wśród szerszych kół naszego miasta. Cześć jego pamięci!

Z uroczystości wojskowych w Krakowie.

W szeregu odznaczeń za działalność wojskową w czasie wojny otrzymała również liczne odznaczenia krakowska żandarmerya. Komendant jej nadporucznik Artur Sandig odznaczony został wojskowym krzyżem zasługi III. klasy z dekoracyą wojenną, na wstędze medalu waleczności. To wysokie odznacze-



Z uroczystości wojskowych w Krakowie: Rotmistrz Dimmel dekoruje odznaczonych żandarmów.

Rosyanie w Tarnobrzegu.

Jest jeszcze w Galicyi jedna miejscowość, o której posiadanie w ciągu obecnej wiosennej kampanii staczano długie i zacięte boje. Miejscem tem jest powiatowe miasto Tarnobrzeg, stara siedziba rodu hr. Tarnowskich, których zamek znajduje się w obok położonej wiosce Dzikowie.

Zarówno jedna, jak druga strona otoczyły się taką siecią rowów strzeleckich, labiryntem podziemnych przejść i stałych kryjowek dla walczących rezerw, że do pewnego stopnia nie było humorystycznem odezwanie się pułkownika rosyjskiego do jednego z pozostałych w Tarnobrzegu urzędników, że „Przemyśl oddaliśmy, ale Tarnobrzega nie oddamy".

Jako skutek tych walk jest prawie doszczętne spalenie okolicznych wiosek: Kajmowa, Ocic i Miechocina, części Mokrzyszowa, Stalów, Wydrzy, Zapolednika, Zabrnia i dalszych Majdanu zbydniowskiego, Wólki turebskiej, Pilchowa, Rozwadowa, Brandwicy, Jastkowic.

W samym Tarnobrzegu celem większej części pocisków armatnich był klasztor O. O. Dominikanów i apteka. Szczególniej ten pierwszy, ze względu na swą dominującą pozycyę nad całą okoliczną równiną, narażony był przez cały czas sześciotygodniowych walk na ciągłe ostrzeliwanie. I nic dziwnego! Bowiem na nowo zbudowanej wieży tegoż klasztoru początkowo był ukryty jeden z oficerów dowodzących bateryami rosyjskiemi, który telefonicznie wydawał stamtąd rozkazy i kierował ogniem tych bateryi. Dopiero później, gdy naokoło padające granaty z naszych pozycyi groziły każdej chwili zniszczeniem także i wieży, przeniósł się na jedną ze starych lip, rosnącą w ogrodzie O. O. Dominikanów, skąd w dalszym ciągu kierował ogniem dział rosyjskich. W aptece zaś ulokował się sztab rosyjski, co widocznie wyśledzili nasi i z tego powodu słano tam od czasu do czasu pozdrowienia w postaci olbrzymich granatów. Większa też część zabudowań, położonych w promieniu strzału tych dwóch punktów, została mniej lub więcej uszkodzona. Liczne, głębokie na trzy do czterech metrów, a szerokie na sześć metrów, doły po ogrodach i ulicach miasta wskazują na siłę eksplodującą naszych pocisków. Sam klasztor kilkoma granatami bardzo uszkodzony, główna nawa zupełnie zwalona, ocalała jedynie boczna kaplica, w której obecnie odprawia się nabożeństwo i wieża, częściowo tylko uszkodzona.

Całkowitemu i częściowemu zniszczeniu uległy: budynek sądu powiatowego karnego, który za jednym pociskiem zniknął zupełnie z powierzchni ziemi, domy dra Kuźniara, inżyniera Matusińskiego, lustratora Krasonia, Hoffmana, Jakubowicza, Jollesa, Federbuscha, Towarzystwa zaliczkowego, Edera, Wiesenfelda i wielu innych. Wogóle w całem mieście niema prawie żadnej szyby, w wielu domach wraz z szybami powylatywały także ramy i drzwi. Tak n. p. w budynku Rady powiatowej z powodu jednego tylko pocisku, który upadł tuż przed budynkiem, wyrwane zostały z zawias i połamane wszystkie drzwi i okna budynku od tej strony położone. W obrębie miasta położony „Borek" miechociński



Nowy gmach Rady powiatowej w Tarnobrzegu, uszkodzony pociskiem.



(Fot. Wł. Błoński). Domy Münzberga i Federbuscha w Tarnobrzegu.



Rynek w Tarnobrzegu z widokiem uszkodzonego kościoła i spalonego ratusza.

tworzy po obydwu stronach szosy Tarnobrzeg Dębica istny labirynt podziemnych mieszkań i rowów strzeleckich Moskali. Cały ten lasek w większej części wycięty, a drzew użyto na budowę tych jaskiniowych mieszkań. Całą zimę przygotowywali Moskale te olbrzymie okopy. Stale przez zimę kilkaset ludzi pracowało nad nimi. Okoliczne budynki drewniane rozbierano w zupełności na budowę tych okopów. W ten sposób zniknęły z powierzchni ziemi budynki gospodarcze Sokoła, kręgielnie Sokoła i kasynowa, stodoły hr. Tarnowskiego i t. p., dalej drzwi i sprzęty domowe wszystkich opuszczonych, a bliżej położonych mieszkań znalazły się również w rowach strzeleckich. W ogólności w mieszkaniach opuszczonych z małymi wyjątkami nie pozostało prawie nic mebli. Wszystko to znikało z biegiem czasu, wywożone częścią za Wisłę, częścią między okolicznych włościan, najprawdopodobniej sprze-

Mówiąc o gospodarce Rosyan w mieście, stwierdzić można na ogół, że była ona za drugiej inwazyi rosyjskiej o wiele względniejszą dla mieszkańców, aniżeli za pierwszej, podczas której prawie wszystkie wyżej wymienione mieszkania i sklepy zrabowane zostały. Nie trafiały się także w mieście za drugiej inwazyi jakiekolwiek wypadki gwałtowniejszych wystąpień, a tem mniej, tak częste za pierwszej inwazyi, wypadki wieszania, bicia na ulicach mieszkańców, hańbienia kobiet i t. p., bo też Moskale przypuszczali, że na stałe się tu już osiedlą... Wszystkie też ich zarządzenia nosiły na sobie cechy trwałości i pewnych podstaw całkowicie opracowanego i nowo wprowadzanego systemu rządów rosyjskich w zajętych powiatach. Tak na przykład mianowany w ostatnich czasach „gradonaczelnik powiatu“ kazał sobie urządzić na pierwszem piętrze budynku Rady powiatowej prywatne mieszkanie,

Nawet hipoteka sądowa, mimo energicznej obrony ze strony pp. Ruzamskiego, Staryowej i innych została w ostatnich dniach odwrotu rosyjskiego w większej części zniszczoną.

Jak już niejednokrotnie w pismach podnoszono, jedynem środowiskiem, noszącem na sobie cechy iście patryarchalnej i celowo zorganizowanej pracy i opieki nad zupełnie opuszczoną i pozbawioną jakiejkolwiek ochrony ludnością z powiatów: tarnobrzeskiego, niskiego, kolbuszowskiego i mieleckiego, był dom hr. Tarnowskich, którzy przez swój żarząd dóbr zaopatrywali całą ludność w potrzebne towary, sprowadzane nieraz aż z Lublina i sprzedając je po cenach kosztów, a nadto udzielając biedniejszej ludności materyalnej pomocy z funduszów Rockefellerowskiego i własnych. W ten sposób miano rozdać około 30.000 rubli z funduszu pierwszego.

Najdłużej godność burmistrza Tarnobrzega pia-



Ratusz w Tarnobrzegu, spalony przez Rosyan.



Dom dra Kuźniara w Tarnobrzegu, uszkodzony pociskiem.

(Fot. Wł. Błoński).

dawane przez żołnierzy rosyjskich lub pozostałe szumowiny podmiejskie. W ten sposób zrabowane zostały doszczętnie mieszkania: dra Urbanika, radcy dra Mrowca, sekretarza Chalcarza, leśniczego Pokornego, inż. Semkowicza, dra Rebena, dra Surowieckiego, dra Loewyego, dra Moleta, dra Janowicza, dra Adwentowskiego, dyrektora Sobińskiego, rabina Horowitza, sędziego Klimka, prof. Jaszowskiego, dra Kuźniara, częściowo inspektora Piątka, sekretarza Bielewicza, inżyniera Matusińskiego, lustratora Krasonia, oraz wszystkie mieszkania kupców żydowskich i ich sklepy. Jedyny miejscowy handel katolicki towarów spożywczych i galanteryjnych pod nazwą „Bazar“ najprzód zrabowany, spłonął doszczętnie, zdaje się od podłożonego ognia dla zatarcia śladów rabunku. Obecnie miasto wraca zwolna do normalnego wyglądu i gdyby nie poburzone i podziurawione tu i ówdzie domy, porozbijane szyby w oknach i drzwi, pozamykane sklepy w rynku i ta straszliwa pustka, jaka wieje z każdego kąta z braku mieszkańców, którzy w ośmiu dziesiątych częściach przebywają jeszcze na obczyźnie, zdawałoby się, że nad miastem nie przeszedł ten okropny huragan sześciotygodniowych zmagań wojennych.

złożone z ośmiu pokoi, w których pomieszczono wszystkie pozostałe meble Matusińskiego, Bielewicza i Piątka. Z końcem maja miała zjechać reszta rodziny naczelnika z guwernantką, boną i t. d. i mieli na stałe objąć w posiadanie cały gmach Rady powiatowej. Lecz na szczęście ostatnie walki rozegrały się inaczej, tak, że pan naczelnik wyjechawszy po rodzinę, nie miał, niestety, czasu przybyć z nią na nowe mieszkanie. Pozostało też z tych czasów zapomnianych w pospiechu w jednym z biurek kilka druków urzędowych tegoż naczalstwa, raporty do gubernatora przemyskiej gubernii, parę próśb wniesionych do naczalstwa na stemplach rosyjskich, jakiś „schimmel“ otrzymany od naczelnika lwowskiego powiatu, a przeznaczony dla P. T. właścicieli ziemskich tegoż powiatu, wreszcie kilka sztuk prywatnej korespondencyi.

Biura urzędowe nie bardzo respektowali nasi oswobodziciele. Z wszystkich władz rządowych, autonomicznych i instytucyi finansowych, mających siedzibę w Tarnobrzegu, ocalały jedynie nietknięte wszystkie akta i całe urządzenie tutejszego Starostwa, a to tylko dzięki temu, że biura te mieszczą się w budynkach klasztornych O. O. Dominikanów.

stował za rządów moskiewskich szewc Wiśniewski. Był on podobno takim służbistą, jakim tylko szewc takim być potrafi. Miał go cechować iście olimpijski zawsze spokój, kolosalne przeciążenie pracą i niczem nie dająca się wyprowadzić z równowagi pewność w wydawaniu różnych zarządzeń. Jako zewnętrzną oznakę swej godności przywdziewał zawsze w chwilach swego urzędowania... płaszcz gumowy. — W urzędowaniu tem miał mu godnie wtórować przydzielony sekretarz do szczególnych poleceń, ex urzędnik pocztowy Kuryłło, którego złośliwi mieszkańcy przechrzcili na Kuryłłow. Im przydzielono, jako rodzaj rady przybocznej, subjekta z handlu ś. p. Giżyńskiej, Stanisława Polaka i fryzyera Edwarda Salczyńskiego, którzy mieli za zadanie zabawiać Moskali w chwilach wolnych od zajęć... kartami.

Szkoda, że ten „kleeblatt“ wyemigrował, czy też uprowadzony został wraz z innymi jeńcami przez Moskali; nie sprawdziła się zatem wiadomość, podana dawniej w dziennikach, że Moskale Wiśniewskiego powiesili.

(Dokończenie nastąpi.)

Z działalności społecznej polskich kobiet na obczyźnie.

W tych ciężkich wojennych czasach, kiedy całe życie uległo takim wstrząśnieniom, nie ustała bynajmniej praca społeczna naszych kobiet. Nie tylko tu w kraju, zniszczonym przez pożogę wojenną, kobiety mają szerokie pole działalności, ale i na wychodźtwie rozwijały owocnie pracę społeczną wśród licznej rzeszy uchodźców.

W Wiedniu, gdzie skupiła się znaczna liczba Polaków, zmuszonych wyemigrować z kraju skutkiem warunków, stworzonych wojną, rozwijał energiczną działalność Związek katolicki polskiej emigracyi. — W styczniu b. r. na zebraniu tygodniowem Związku z inicyatywy p. Wandy Steczkowskiej z Krakowa ukonstytuował się wydział sekcyi przemysłowej tegoż Związku z siedzibą w Wiedniu. W skład wydziału weszły panie: Wanda Steczkowska, przewodnicząca, bar. Mich. Jorkaszowa, zastęp. przewodn., Teofila Teczar, sekretarka, Paula Morawska, kasyerka, tudzież panie Ekscell. Abrahamowiczowa, Irena Steczkowska, Kazimiera Smoleńska, P. Przetocka, Buszczyńska, hr. Lasocka, Kostecka, Traczykowa, Żuk Skarszewska, Bakowska, Burczykowa.

Sekcya przemysłowa postawiła sobie za cel spełniać niejako w dalszym ciągu to zadanie, jakie Związki przemysłowe, zwłaszcza kobiece, w kraju spełniały, a mianowicie: urządzanie kursów zawodowych, wieców, odczytów, pogadanek, tworzenie pracowni i warsztatów, wyszukiwanie dróg zbytu dla przemysłu krajowego, popieranie kobiet pracujących w przemyśle, krzewienie zamiłowania pracy ręcznej i t. d.

Spełniając to zadanie, za pierwszy obowiązek uważała Sekcya przemysłowa przystąpić do zorganizowania kursów zawodowych i wspierać je tak moralnie, jak i materyalnie.

Sekcya przemysłowa założyła na własną rękę kursa kroju i szycia bielizny, kroju i szycia sukien, modniarstwa, robienia krawatek, parasolnictwa, trykotarstwa maszynowego, prania, farbowania i robienia sztucznych skrzydeł.

Kursa te zgromadziły liczne uczestniczki, zwłaszcza, że osobom, nie mającym na kształcenie się funduszów, Sekcya udziela daleko idących zniżek za opłatę za naukę.

Sekcya przemysłowa utrzymuje stale biuro własne (obecnie przy Londongasse VIII, Nr. 3) w którem udziela informacyi w sprawach mających związek z kwestyą przemysłu, prowadzi wpisy na kursa, odbywa stale co tydzień posiedzenia wydziału.

Na zebraniach tygodniowych Związku kat. polem. mają miejsce pouczenia w kwestyach ustaw

przemysłowych i wykłady takie były prowadzone przez prof. Wilusza, p. Kosteckiego i p. W. Steczkowską.

Sekcya przemysłowa odbyła również kilka posiedzeń z reprezentantami stowarzyszeń i komitetów męskich w sprawie „Odbudowy kraju". Na czele tej organizacyjnej pracy stanęli inżynierowie z Galicyi, p.: Gawroński, Dzietlewski i p. Popkowski. W rezultacie uchwalono zaprosić reprezentacye wszystkich stanów i zawodów do wspólnej akcyi w celu



Z gorących czasów: Porucznik Ludwig, który w przebraniu kominiarza śledził ze szczytu komina browaru we Wojniczu ruchy nieprzyjaciół.

wybrania ścisłego komitetu, co też uskuteczniono, utworzywszy komitet z siedmiu osób, prowadzący sprawę odbudowy kraju dalej.



Z działalności społecznej polskich kobiet na obczyźnie: Wydział Sekcyi przemysłowej Związku katolickiego polskiej emigracyi: 1) bar. J. Jorkasz, 2) Eksc. Abrahamowiczowa, 3) Wanda Steczkowska, 4) K Smoleńska, 5) hr. Z. Lasocka, 6) T. Morawska, 7) T. Tęczar, 8) Z. Kostecka, 9) Traczykowa, 10) W. Weigel, 11) J Łozińska.

Biskup polowy w Krakowie.

W pierwszej połowie lipca bawił w naszem mieście zwierzchnik kleru wojskowego, Jego Ekscellencya dr. Emmeryk Bielik. W powrocie z północnego placu walki zatrzymał się przez dwa dni w Krakowie, celem odwiedzenia rannych i chorych żołnierzy, umieszczonych w szpitalach twierdzy.

Dnia 5. lipca złożył wizytę księciu biskupowi Sapieże, chcąc mu osobiście podziękować za jego ojcowską opiekę, jaką otoczył rannych i chorych przez organizacyę pomocniczej obsługi duchownej w dyecezyi krakowskiej, spełnianej przez duchowieństwo cywilne.

Nie mógł odżałować, że nie zastał naszego Arcypasterza, który właśnie wtedy wyjechał do Lwowa.

Następnego dnia, t. j. 6. lipca, po odprawieniu mszy św. w zakładzie Lubomirskich i odwiedzeniu chorych i rannych w tymże zakładzie, w towarzystwie księdza Biolka, proboszcza twierdzy, odwiedzał chorych w kilku szpitalach twierdzy, a mianowicie: w szpitalu garnizonowym, w Akademii handlowej, w Colleginm phisicum, w klinice prof. dra Kadera i w Seminaryum duchownem. Wszędzie bardzo życzliwie i łaskawie rozmawiał z rannymi i chorymi w ich rodzinnym języku, co wprawiało w podziw nie tylko chorych, ale całe otoczenie, towarzyszące dostojnemu gościowi.

Po południu we wtorek udzielił audyencyi wszyst-



Biskup polowy w Krakowie: J. E. ksiądz dr. Emmeryk Bielik przed szpitalem klinicznym profesora Kadera.



Biskup polowy w Krakowie: J. E ksiądz dr. Emmeryk Bielik odwiedza rannych w klinice profesora Kadera.

kim kapelanom wojskowym w V. szpitalu twierdzy w Collegium O. O. Jezuitów ua Wesołej, wyrażając uznanie klerowi wojskowemu i duchowieństwu cywilnemu za gorliwe spełnianie opieki duchownej nad rannymi i chorymi w Krakowie.

Koncert dla rannych.

Za inicyatywą komendy IV. szpitala i staraniem tamtejszego kapelana księdza Piechnika mieli znowu chorzy przemiłą rozrywkę duchową. Na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej odbył się drugi koncert dla rannych żołnierzy, którzy tę artystyczną innowacyę przyjęli z ogromnem zadowoleniem, o czem świadczyły rozradowane oczy i gorące oklaski, których nie szczędzili nawet ciężko ranni, leżący na noszach.



Koncert dla rannych: Goście na koncercie szpitala fortecznego nr. 4. w Krakowie. 1) Ksiądz biskup Nowak, 2) jenerał Nastoupil.



Z gorących czasów: Rynek w Zarszynie po odwrocie Rosyan.

Na koncert przybyli też goście, między innymi: ksiądz biskup Anatol Nowak, J. E. jenerałowa Kukowa, jenerał Nastoupil, szef sanitarny dr. Otto i inni goście, a wśród nich wiele pań.

Program koncertu wypełniły artystyczne produkcye chóru operowego pod dyrekcyą Walek-Walewskiego, śpiew pp. H. Łowczyńskiego i Zatheya i piękna gra tercetu, który tworzyli: jeden z lekarzy szpitala dr. Frommer (wiolonczelista), młodociana skrzypaczka p. Hellerówna i p. W. Nowakówna. Tercet wykonał między innemi duet z opery „Eugeniusz Onegin" Czajkowskiego i „O fiołeczku" Szopskiego.

Wykonawcy, znani już z innych występów, dali niezwykłym swym słuchaczom utwory prawdziwej sztuki, zadając kłam maksymie, że *inter arma silent Musae.*

Z gorących czasów.

W czasie inwazyi rosyjskiej, która doszła prawie aż pod sam Kraków, ucierpiał także wiele Wojnicz, mała mieścina, położona w powiecie brzeskim. Pierwotnie stała tu armia austryacka, później, ale nie na długo zajęli ją Moskale, by znów zrobić miejsce wojskom sprzymierzonym. W okolicy stoczono kilka krwawych potyczek, w których bardzo wy-



Koncert dla rannych: „Sala koncertowa" na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

bitną rolę odegrała zwłaszcza nasza ciężka artylerya.

Jednym z bardzo ważnych punktów obserwacyjnych był komin miejscowego browaru, dominujący nad całą okolicą. Na nim to obrał sobie stanowisko porucznik Ludwig, który w przebraniu kominiarza dostał się na sam szczyt od wewnątrz i stąd śledził pozycye i ruchy wojsk nieprzyjacielskich, nie zważając na kule, któremi Moskale gęsto go obrzucali. Spostrzeżenia swe komunikował przy pomocy telefonu stacyi odbiorczej, która znajdowała się na dole, stąd zaś przesyłano je, gdzie należy i według nich kierowano ogień naszych bateryi. Po długiej i uciążliwej walce udało się wreszcie spędzić wroga z pozyci, a zasługa w tem właśnie por. Ludwiga.

Illustracye zamieszczone w niniejszym numerze przedstawiają porucznika w przebraniu kominiarskiem przed wybraniem się w niebezpieczną, a karkołomną podróż, oraz stacyę telefoniczno odbiorczą u stóp komina browarowego.



Z gorących czasów: Stacya odbiorcza telegrafu polowego u stóp komina browaru we Wojniczu.

Prócz tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze inne illustracye „z gorących czasów" wypierania Moskali z Galicyi.

Jeden z Czwartaków.

Przed kilku dniami zamieściły prawie wszystkie pisma polskie opis podniosłej uroczystości, jaka odbyła się niedawno w Piotrkowie przy udziale tłumów okolicznej ludności, władz wojskowych i Naczelnej Komendy Legionu Na pole walki odchodził IV. pułk, nowi „Czwartacy" pod dowództwem swego nieustraszonego pułkownika Roi, wsławionego bohaterskiemi walkami w Galicyi wschodniej i na Bukowinie. W szeregach Czwartaków, do których wstąpili wszyscy dawni oficerowie Roi z IV. batalionu II. pułku, brakło tylko jednego. Jest nim kapitan Stanisław Krzaczyński, którego podobiznę zamieszczamy.

Jeden z najgorętszych członków oddziału konnego „Sokoła" w Krakowie, zgłosił się jako pierwszy do oddziału kawaleryi, zorganizowanego dzięki inicyatywie prezesa oddziału, z którego utworzono drugi, wsławiony obecnie szarżą pod Rokitną, i trzeci szwadron kawaleryi Legionu, znany z walk w Karpatach i na Bukowinie. Po wymarszu z Krakowa przydzielony zostaje jako adjutant do pułkownika Roi. Przy jego boku bierze udział w pierwszych walkach po stronie węgierskiej, a następnie na ziemi polskiej. Z końcem października walczy pod Mołotkowem przy boku pułkownika Zielińskiego. Tam otrzymuje dowództwo 15. kompanii II. pułku po rannym poruczniku Dobrzańskim. Po krótkim zale dwie dwutygodniowym wypoczynku bierze udział w sławnym marszu na Rafajłową, a następnie w całym szeregu nieustannych walk pod Zieloną, Pasieczną, Maksymcem i Nadworną. Dnia 15. lutego IV. batalion Roi zdobywa Sołotwinę, przyczem kapitan Krzaczyński prowadzi dwie kompanie Legionu i jedną kompanię bośniackiego pułku piechoty. Następnego dnia Moskale cofają się z Sołotwiny, podpalając most na Bystrzycy, aby udaremnić przejście rzeki ścigającym wojskom i Legionowi. Kapitan Krzaczyński, odkomenderowany przez komendanta Roję na zagrożony posterunek celem ugaszenia pożaru i sforsowania mostu, pada ciężko ranny trzema kulami karabinowemi. Po ciężkiej operacyi rany postrzałowej w lewą nogę i dłuższej kuracyi w Lincu i w Wiedniu, poddać się musiał obecnie kapitan Krzaczyński poważnej operacyi przestrzelonego nerwu w prawej nodze, którą wykonał słynny chirurg wiedeński, prof. Eiselberg.

Przedtem zawitał kapitan Krzaczyński do Krakowa, ażeby w gronie bliskich i przyjaciół spędzić kilka dni.



Jeden z Czwartaków: Stanisław Krzaczyński, kapitan Legionu

Śmierć na polu chwały.

Wśród okrytych sławą polskich pułków armii austryackiej, rycerską chwałę zdobył sobie nieustraszonem bohaterstwem wadowicki pułk 56, stojący załogą w Krakowie. Żołnierze szli jak lwy w bój za dzielnymi oficerami, oficerowie z podziwem patrzyli na waleczność żołnierzy. Dość powiedzieć, że pułk ten kilkakrotnie w sprawozdaniach sztabu generalnego był wymieniony jako jeden z najbardziej zasłużonych, a śmiało można powiedzieć, że mało który z pułków austryackich tyle uzyskał odznaczeń, iż dziś niemal nie ma prawie żołnierza, któryby nie był odznaczonym.

Bo też i dzielnych miał ten pułk wodzów i dzielnych komendantów. Jednym z nich był kapitan Stanisław Kiernik, którego waleczność kilkakrotnie w dziennikach podnoszono. Kochany i uwielbiany przez swych żołnierzy, którzy go swym ojcem zwali, szedł zawsze w pierwszym szeregu, dając przykład swem męstwem innym. Owiany gorącą miłością Ojczyzny — Polak całem sercem, dzielił tryumfy pułku, dzielił i jego chwilowe smutki i utrapienia znojnych walk. Pod Borowem, Księżomierzem i Borzechowem, pod Jedlnią, niedaleko od Iwangrodu, prowadził swe hufce do zwycięzkich walk. Ranny



Śmierć na polu chwały: S. p. Stanisław Kiernik, kapitan 56 wadowickiego pułku piechoty.

pod Jedlnią, wyleczył się i wrócił na linię bojową, aby znowu prowadzić do zwycięskich szturmów pod Gorlicami. Ranny po raz drugi 2. maja, zmarł w cztery dni później, oddawszy w służbie obowiązku życie dla Ojczyzny. Waleczność Jego ocenioną została przez przełożone komendy. Odznaczony już w czasie pokoju tak zwanym „signum laudis" — w czasie kampanii wojennej otrzymał trzy razy odznaczenie: wojskowy krzyż zasługi III. klasy, ponowne „signum laudis" z dekoracyą wojenną, wreszcie, już po śmierci, order żelaznej korony III. klasy.

Zwłoki Jego spoczęły na cmentarzu w Bochni, gdzie spędził pierwsze lata dzieciństwa i gdzie pozostawił w żalu i smutku opłakującą go rodzinę.

Cześć bohaterowi!



Koncert dla rannych: Trio na koncercie dla rannych szpitala fortecznego nr. 4. w Krakowie: pp. Nowakówna, Hellerówna i dr. Frommer

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

7

— Tak jest. Delrue ma ładne znajomości! Powierzył ją apaszom, ale ten dryblas z Afryki zjawił się w nieporę z obroną i oto dlatego panna Janina jest chora i nie chce już biegać wieczorami sama.

— Ale skąd to przypuszczenie?

— Przyszło mi nad szklaneczką absyntu, czytając ten dziennik — odparł z dumą lichwiarz, podsuwając żonie pod oczy drukowany świstek.

— Panie Collin-Megret, zdumiewasz mnie! Nie posądzałam cię nigdy o tyle trzeźwości umysłu.

— Robi się, co może — odpowiedział skromnie lichwiarz.

— Trzymamy wygraną w ręku. Delrue należy do nas. Wczoraj zapamiętałam sobie numer jego dorożki. Może kręcił się w tych stronach. Trzeba pomówić z dorożkażem. Ale gdzie go szukać!

— O tej porze znajdziemy go w Bastylii, gdzie przeprzęga konie.

— Jedźmy tam.

W głównej remizie nie zastali jednak szukanego dorożkarza, ale kolega jego obiecał pani Collin-Megret przysłać go do niej, jak tylko nadjedzie i przeprzęże.

Poszli więc do restauracyi poblizkiej i tam zaczekali, pocieszając się drugiem śniadaniem, któremu towarzyszyła butelka dobrego wina. Nie osuszyli jej jeszcze do dna, kiedy chłopak posługujący oznajmił im, że dorożkarz już zajechał.

— Przejedziemy się trochę w stronę Montmartre — rzekł do niego dobrodusznie pan Collin-Megret — Oh! zdaje mi się, że jesteśmy starzy znajomi!

— Przepraszam was, obywatelu, ale ja tylu ludzi wożę...

— Ulica św. Łazarza! „Przewodnik światowy“!

— Aha! Tak, tak, wiem już. Woziłem nawet wczoraj do pana jakiegoś młodego pasażera! Przyjaciel może!

— Tak i nie! Możecie mówić! Oh! Nanudził mnie dosyć! A gdzie się wieźć kazał? Do Chateau d'Eau, prawda?

— Tak, ale potem! Mnie się zdaje, że on musi być z policyi!

— Może! Ale zgubił przy tej wycieczce laskę ze złotą gałką! Przyszedł potem do mnie, myśląc, że ją zostawił w mojem biurze i prosił mnie, abym w tym celu przeszukał wszystkie to miejsca, gdzieście go wozili, bo musiał wyjechać na parę dni.

— Nie dziwię się, że zgubił laskę w takich norach zbójeckich! Ho! ho! hotel Ambasadorów! Ładny wynalazek! Musiał pan czytać poranne dzienniki. Ten pański znajomy wmieszał się tam w porządną awanturę. Jeżeli pan tam zmierza ze swoją panią, to nie radzę! Laska się nie odnajdzie, a można narobić sobie jakiej nieprzyjemności.

— Masz słuszność, mój przyjacielu — przyznał pan Collin-Megret — Nie pojedziemy już tam, zwróćcie się przez Montmartre do bulwaru Clichy.

— Więcej nam nie potrzeba wiedzieć — szepnął do pani Wiktoryi — Już wiemy, po co tu jeździł Delrue.

Przejażdżka trwała dość długo, gdyż pan Collin-Megret po drodze załatwiał rozliczne finansowe interesa. Tymczasem zaś pani Wiktorya oczekiwała go w dorożce, skracając sobie czas pogawędką z uprzejmym dorożkarzem.

Nagle na jednej z ulic powstał popłoch i zamięszanie, młoda dziewczyna, blada i wyczerpana, upadła prawie pod same koła powozu. Pani Collin-Megret krzyknęła z przerażenia, pochyliła się nad leżącą i zawołała natychmiast z wybuchem szalonej radości, zwracając się do męża i kilku osób nadbiegłych z pomocą:

— Co za szczęście! Mój Boże! Co za szczęście! Ależ to moje biedne, zaginione dziecko! Mężu, czy widzisz! Nasza córka! Nasza droga córka, którą mieliśmy już za straconą! Pomóż mi ją wnieść do powozu. Biedactwo, zemdlała z wycieńczenia!

Ktoś z publiczności, wzruszony troskliwością matki, uniósł na rękach zemdloną dziewczynę i umieścił w powozie.

— To jej córka! To córka tej biednej kobiety — szeptano wokoło ze współczuciem — Co za traf szczęśliwy! Upadła przy powozie matki!

Pan Collin-Megret nie mógł wyjść ze zdziwienia, nie mogąc sobie wytłumaczyć zachowania żony. Przecież ta dziewczyna, leżąca na ławeczce powozu, nie była „tamtą“, którą nadal zaopiekować się mieli. Tamta była blondynka, a ta ma ciemne oczy i całkiem do niej niepodobna, choć może nawet piękniejsza.

Próbował coś oponować, ale groźne wejrzenie pani Wiktoryi wstrzymało jego słowa.

Wśród życzliwych wykrzykników i uśmiechów powóz ruszył dalej.

— Co zamierzasz zrobić z tą dziewczyną? — zdobył się wkońcu na pytanie pan Collin Megret — Cóż za szaleństwo cię podleciało! Pomyliłaś się chyba!

— Wcale nie. Wiem, co robię. Ta dziewczyna szła przez ulicę jak nieprzytomna. Musi być bezdomna, zaopiekuję się nią. Przypatrz się tylko tej buzi, czy nie warta opieki?

— Ty chcesz uczynić dobry uczynek! Żartujesz chyba!

— Nie rozumiesz mnie, stary głupcze — szepnęła pani Wiktorya do ucha swojego wspólnika — Potrzebuję coś nowego do pracowni. A ta z tamtą będą stanowić ładną parę. Szczęśliwy traf posłużył mi.

Nieszczęśliwą dziewczyną, podjętą na ulicy przez panią Collin-Megret, była Luiza, córka pułkownika le Rieux.

W sieci.

Pani Collin-Megret została dobrze poinformowaną. Janina le Brenn, wzruszona i zaniepokojona wypadkiem owej niezapomnianej nocy, lękała się teraz nawet w dzień biały wyjść na ulicę miasta.

Na razie nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co się stało! Wyszła wieczorem, jak codziennie z pracowni przy ulicy Temple, przeszła przez plac Republiki, kierując się w stronę kanału św. Marcina i nagle, kiedy przechodziła koło muru, okrążającego koszary, uczuła, że ją ktoś silnie pochwycił w górę i zarzucił chustkę na głowę. Usiłowała bronić się, wołać, błagać, ale napróżno, ręka jakaś brutalna przycisnęła jej usta, tamując oddech. Gdy odzyskała przytomność, Delrue klęczał nad nią, jej wybawca, ten Delrue, do którego nigdy nie czuła sympatyi i instynktownie unikała w pałacu markizy de Kermor. Myliła się widocznie co do niego. Delrue okazał się dla niej dobrym, pełnym najlepszych zamiarów i chęci.

Nie wspomniała dotąd nikomu o nieszczęsnej przygodzie nocnej. Chciała się ukryć przed wszystkimi, obawiając się, aby nazwisko jej nie zostało odkryte przez policyę i nie przedostało się do dzienników.

Dnia tego Janka czuła się cokolwiek silniejszą. Otworzyła okno swojego pokoiku, aby odetchnąć świeżem powietrzem i przyszła jej ochota przejść się trochę po dzielnicy w poszukiwaniu za pracą, ktorej tak potrzebowała.

Pierwszą jej myślą było udać się do dawnej pracowni, ale odrzuciła ją szybko. Będzie musiała się tam tłumaczyć, dlaczego nie przychodziła przez te dni parę, odpowiadać na pytania, na któreby nie mogła dać odpowiedzi, a Janka tak obawiała się teraz zetknięcia z ludzką ciekawością.

Skierowała się więc wręcz w przeciwną stronę, odczytując skwapliwie wszystkie kartki z ogłoszeniami, przybite do ścian domów.

Janka już zanotowała sobie w książeczce parę adresów, gdy uwagę jej zwrociła gruba jakaś pani, przylepiająca starannie do muru dość duży plakacik, zapisany dużem, wyraźnem pismem: „Poszukuje się natychmiast młodej dziewczyny, umiejącej dobrze szyć i haftować, z całodziennem utrzymaniem i dopłatą dwudziestu franków tygodniowo“.

Janka uśmiechnęła się radośnie, był to nieprzewidziany, łaskawy błysk szczęścia. Przezwyciężyła wrodzoną nieśmiałość i podeszła do owej pani.

— Proszę panią — wymówiła z trudem — proszę mi wybaczyć... pragnę zapytać...

— O co, moje dziecko? — odrzekła nieznajoma, odwracając się z dobrotliwym uśmiechem na ustach.

— Bo właśnie przeczytałam ogłoszeni pani... i myślę... mam nadzieję...

— Znasz może, moje dziecko, kogoś, któryby się podjął tej pracy?

— Ja właśnie, proszę pani... Umiem dobrze szyć i haftować...

— Ale, moje dziecko, nam potrzeba zręcznej, rutynowanej pracownicy, a nie wiem, czy...

— Pracowałam już wiele w tym zakresie. Jestem Bretonka, u nas wszystkie dziewczęta haftują...

— A to co innego! Bretania, kraina hafciarek, ślicznych chusteczek, fartuszków! Ale my w Paryżu również potrzebujemy haftów innego rodzaju... wytworniejszych, modnych!

— Potrafię to wszystko, proszę pani! Pracowałam już w Paryżu!

— Taka młodziutka! Szesnaście lat najwyżej!

— Więcej, proszę pani, ośmnaście! Pracuję już od lat paru, od śmierci mojej matki.

— Ah! Więc jesteś zupełnie sama, kochanko!

— Tak! Nie posiadam żadnej bliższej rodziny.

— Biedna sierota! Sama, w tem wielkiem mieście, pełnem niebezpieczeństw i pokus!

— Dlatego też szukam pracy, proszę pani!

— Moje dziecko, podobasz mi się coraz więcej! Zgadzam się na twoje propozycye. Mam nadzieję, że pogodzimy się z sobą!

— Oh! pani! Jakże ci mam dziękować! — zawołała Janka z wdzięcznością. — Czynić będę wszystko, aby pozyskać twoje uznanie!

— Nie rozczulajmy się, moja kochanko! — odparła gruba pani, zdzierając nalepioną kartkę. — Chodźmy do domu, gdzie czeka na nas pilna robota. Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Janina le...

— Janina wystarczy! A więc, Janko, czy mieszkasz stąd daleko?

— Tuż zaraz, przy zakręcie kanału.

— Bardzo dobrze! Pójdę więc z tobą i pomogę ci spakować twoje rzeczy. Tak będzie prędzej, nieprawdaż?

— Oh! jaka pani dobra!

W pół godziny później, zacna gruba pani, pani Collin-Megret, uwoziła Janina le Brenn do swojego mieszkania przy ulicy św. Łazarza. Dzień ten nie mógł być uważany przez panią Wiktoryę za stracony!

Od samego rana śledziła Jankę. Gdy ujrzała ją, wychodzącą z mieszkania i idącą w kierunku ulicy Temple, do dawnej pracowni, wściekłość ją ogarnęła. Lękała się, że zdobycz wymknie jej się z ręki. Lecz gdy z radością ujrzała, że młoda dziewczyna skierowała się w inną dzielnicę, poszła za nią i w chwili stosownej, tuż przed jej oczami rozlepiła nęcące ogłoszenie, wiedziała bowiem, że szuka pracy i skorzysta z tak dobrej sposobności.

Pani Wiktorya promieniała radością, uwożąc teraz Janinę le Brenn do siebie.

— — — — — — — — — — — — —

Luiza Rieux już drugi dzień bawiła u pani Collin-Megret.

Gdy wróciła do przytomności, dzięki energicznym zabiegom i staraniom, ze zdziwieniem powiodła spojrzeniem po pokoju, w którym się znajdowała.

— Uspokój się, moja gołąbko! — wyrzekła pieszczotliwie pani Wiktorya, zbliżając się do łóżka z filiżanką gorącego bulionu. — Wypij to i pogadajmy trochę. Nie potrzebujesz się obawiać. Znajdujesz się pod dobrą opieką.

— Czuję się już lepiej — wyszeptała Luiza niespokojna. — Będę mogła już zaraz wstać i pójść.

— Ale gdzie, moja mała? No, no! Nie myśl teraz o tem! Prawda? Spotkało cię jakieś nieszczęście! Nieporozumienie rodzinne może? Widzę, że należysz do lepszego świata, rączki niespracowane. Pewnie panienka chciała się pokierować własnym rozumkiem i przeliczyła się! Zdarza się to, zdarza! Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Luiza!

— Luiza... i to wszystko?

Młoda dziewczyna milczała.

— No, skoro nie masz do mnie zaufania, to nie nalegam. Pozwól, że ci powiem kilka słów. Jestem panią Wiktoryą, właścicielką pracowni. Znalazłam cię na ulicy, zemdloną, samą... wzięłam do dorożki i przywiozłam do swojego domu. A wiesz, dlaczego to uczyniłam?

Luiza Rieux zdawała się nie rozumieć słów swojej wybawicielki. Błędnem, szklanem spojrzeniem patrzała przed siebie, nie zdając sobie sprawy, co się z nią dzieje.

— Uczyniłam to dlatego — ciągnęła dalej pani Wiktorya, nie zwracając uwagi na uporczywe milczenie młodej dziewczyny — że miałam ukochaną córkę w twoim wieku, którą mi pan Bóg zabrał! Łudząco była do ciebie podobna, te same oczy... te same włosy...

Nagły krzyk Luizy przerwał czułe wspomnienia pani Wiktoryi.

W gwałtownym paroksyźmie gorączki, wyciągając ręce przed siebie, jak gdyby dla obrony, wołała rozpaczliwym głosem:

— Puśćcie mnie stąd! Puśćcie! Ja się boję! Nie chcę! nie chcę! Ja muszę stąd iść!

Wyskoczyła z łóżka i biegła ku drzwiom. Ale pani Wiktorya już ją trzymała w ramionach i uspakajała słodkiemi słowami i pieszczotami, zmuszając do powrócenia do łóżka.

— Atak nerwowy. — szepnęła — Poczekaj, malutka! Już ja cię potrafię uspokoić! To nie nowość dla mnie!

Przyrządziła jakieś lekarstwo i siłą prawie zmusiła Luizę do wypicia.

— Śpij teraz, kochanko! Nie mam czasu bawić się z tobą dłużej!

Nazajutrz już o godzinie piątej zrana pani Collin-Megret była na nogach. Ubrała się spiesznie i poszła do pokoju swojej pierwszej panny magazynowej, panny Amelii.

— Ot! Jakto, Amelio, spisz jeszcze! — oburzyła się stając na progu. — A interesa nasze?

— Jakie interesa? — mruknęła, ziewając Amelia.

— Zapomniałaś już?! A małoś na nich sztuk złota zarobiła!

— Oh! Nie warto wspominać! Ja pracuję, a pani zabiera pieniądze!

— Bo muszę sama pilnować wszystkiego. A gdybym się tak wylegiwała, jak ty!...

— Oh! proszę bardzo! A któż to wstaje codziennie o godzinie jedenastej? Może ja?

— No, cicho już! Chciałam ci tylko powiedzieć, że na dziś mamy sprawę z tą dziewczyną, i jeżeli chcesz zarobić...

— Dlaczegóż pani odrazu tego nie mówiła! Zaraz wstaję! A jest jeszcze co nowego?

— Jest, pod numerem drugim druga, którą wczoraj zabrałam z ulicy, godna zainteresowania. Chcę się nią zająć. Chora jest trochę; idź do niej i pomów z nią, bo to głupiutkie jeszcze.

— Masz tobie! Mam być teraz opiekunką gąsek, tak, jak to było za dziecinnych lat! Ładne zajęcie!

Gdy po kwadransie zeszła do pracowni, była już całkiem inną osobą. Przywitała panią Wiktoryę grzecznie i z uszanowaniem, jakgdyby jej jeszcze dziś nie widziała, a ta zaś zaczęła do niej mówić „panno Amelio".

Pierwsza „podręczna" pani Collin-Megret udała się następnie do pokoiku, zajmowanego przez Luizę i usiadła na krześle, czekając cierpliwie na jej przebudzenie się.

Panna Amelia była istotą o nizkich bardzo instynktach i charakterze. Na jej usprawiedliwienie nie możnaby dodać, że nie czuła się nigdy szczęśliwą w życiu. Przeważającem nieszczęściem tej brzydkiej i szorstkiej dziewczyny było to, że nie potrafiła nigdy zostać „zrozumianą" przez osobnika płci męskiej. To zaostrzyło jej charakter, a duszę napełniło goryczą i zazdrością dla bardziej uprzywilejowanych. Zatruwać życie drugich, stało się teraz ulubioną jej rozrywką i przyjemnością; w dodatku była bezgranicznie chciwą i skąpą. Gdy weszła, jako pracownica, do domu pani Wiktoryi, ta sprytem swoim wyczuła, że nowa „podręczna" stać się jej może bardzo użyteczną. Wkrótce też doszły do zupełnego porozumienia.

Panna Amelia posiadała specyalny dar uświadamiania młodych dziewcząt, zajętych w pracowni, obdzierania ich ze wszelkich illuzyi młodości i nadziei; to była jej zemsta i korzyść.

Luiza obudziła się z trudem, czując ciężar jakiś na mózgu i dziwne odrętwienie całego ciała.

— Gdzież jestem, mój Boże! — szepnęła — Chcę wiedzieć, gdzie jestem.

— U zacnej pani Wiktoryi — pospieszyła z odpowiedzią panna Amelia — największej modystki z ulicy św. Łazarza, która poleciła mi czuwać nad panią i opiekować się nią.

— A tak! — rzekła Luiza, przecierając rękami czoło — przypominam sobie, mówiła o córce, która miała być do mnie podobną i umarła.

— Tak właśnie.

— Pani, błagam cię, pozwól mi stąd odejść! Ja muszę stąd iść! Czuję się już silną.

— Dzięki tej dobrej pani Wiktoryi, która zajęła się panią, jak własnem dzieckiem i której chcesz się tak odwdzięczyć! Oo, to nie ładnie! No, panno Luizo, niech pani porzuci tę myśl, a opowie mi coś o sobie... to pani ulży... domyślam się jakiejś tragedyi sercowej, prawda? Mój Boże, jaka pani jeszcze dziecinna! Będąc tak ładną, jak pani, martwić się o takie głupstwa!

Luiza odwróciła głowę, przejęta nagle wstrętem do tej dziewczyny.

— Wyśmiano twoją miłość, co? — ciągnęła dalej panna Amelia — no, śmiej się teraz ze wszystkich, tak, jak ja i mścij się! Jesteś ładną, a stać się możesz jeszcze ładniejszą! Możesz mieć toalety, brylanty, powóz własny.

Luiza Rieux drżała ze wzruszenia. Przecież w ten sam sposób przemawiał do niej Andrzej, ten człowiek, który był powodem jej nieszczęścia. Pomimo wstrętu i obrzydzenia, czuła jednak jak głuchy bunt, wstępujący do jej duszy, szalone pragnienie pomszczenia się za krzywdy doznane.

Niebezpieczną tę rozmowę przerwało wejście pani Wiktoryi, prowadzącej ze sobą Janinę le Brenn.

— Widziałaś już pracownię — mówiła z macierzyńską dobrocią — i poznałaś swoje koleżanki. Mam jeszcze tam na górze panny do przymierzania, manekiny, ale od tych trzymać cię będę zdaleka, bo to dziewczęta lekkie, pochodzące z warstw niższych. A teraz zapoznam cię z Luizą, o której tyle ci już mówiłam. Bądź dobrą dla niej, bo to biedne i nieszczęśliwe dziecko. Potrzebuje wielkiego starania i opieki. Wyznaczyłam ci ładny pokoik obok niej. Panno Amelio — zwróciła się do pierwszej swej „podręcznej" — Proszę zejść na dół do pracowni. Panna Janina zastąpi panią przy chorej.

— Z całą przyjemnością — zawołała panna Amelia, obrzucając ciekawem spojrzeniem nową przybyłą.

— Pozostawię cię tu teraz, staraj się zaprzyjaźnić z Luizą — dodała pani Collin-Megret — gdyż i mnie obowiązki już wzywają do pracowni. Bądź dobrej myśli, moje dziecko.

Janka podeszła powoli do łóżka. Na jej widok Luiza uniosła szybko głowę i długą chwilę przypatrywała się jej w milczeniu.

— Jaka pani ładna i miła! — odezwała się wkońcu z uśmiechem, który ożywił nagle jej bladą, wynędzniałą twarz.

Jankę rozśmieszył ten szczery, naiwny komplement.

— W każdym razie nie jestem tak ładną, jak pani! — zawołała śmiejąc się — Tylko musisz mi przyrzec nie płakać już więcej i nie martwić się, bo zbrzydniesz zupełnie. A przedewszystkiem musisz zostać moją przyjaciółką, Luizo — dodała pieszczotliwie, przesuwając dłoń po miękkich jej włosach — obiecujesz to?

Luiza, wzruszona, skinęła głową. Wdzięk i łagodny głos nowej towarzyszki podziałał uspakajająco na wyczerpany jej organizm. Wsparła głowę na jej ramieniu i dwie duże łzy stoczyły się po jej twarzy.

— A to ładna poprawa! — zawołała Janka — Luizo, posłuchaj mnie! Wiem od pani Wiktoryi, że przeżywasz obecnie ciężkie jakieś zmartwienie. I ja również szczęśliwą nie jestem! Starajmy się wzajemnie pocieszać się, a przekonasz się, jaką to nam ulgę przyniesie! Tylko bądź silna, Luizo, nie poddawaj się rozpaczy. Jesteśmy młode i pracować możemy, a w pani Wiktoryi znalazłyśmy zacną opiekunkę. Jak powrócisz trochę do sił, będziesz moją towarzyszką w pracowni, dobrze? Będziemy się wzajemnie wspierać i wspomagać, jak dwie siostry, zgadzasz się, kochanko?

Luiza za całą odpowiedź zarzuciła ramiona na szyję nowej przyjaciółki i uściskała ją gorąco.

Poniedziałki pana barona Bressien.

Był to dzień przyjęcia oficyalnego u bankiera Bressien. Już od godziny dziewiątej rano tłumy oblegały poczekalnię, każdy oczekując swojej kolei. Bankier miał rozliczne znajomości, nie pogardzając nikim, od którego by mógł wyciągnąć jakąś korzyść dla siebie. Tolerował on dyskretnie, nie angażując się sam, przerozmaite oszukańcze interesa, kombinacye, wyzyski i szantaże, a każdego, oddającego się temu procederowi, trzymał w ręce i mocy swojej.

Początkowo z takim klientem obchodził się grzecznie i względnie, aby wyrobić sobie u niego zaufanie i szczerość, a gdy nadeszła chwila właściwa, podsuwał do podpisu „pewien papier", poparty już niedwuznaczną groźbą i przechodził do następnego.

Audencya miała się już ku końcowi, kiedy pan Collin-Megret przybył do poczekalni, pragnąc i on także pomówić w ważnej sprawie z bankierem.

— Oh! jakże się cieszę, że cię widzę, drogi Collin Megret! — zawołała na widok jego osobistość o długich, białych faworytach z monoklem w oku. — Poufna rozmowa z bankierem, co?

— Możliwe, ale cóż ciebie tu sprowadza, doktorze? Widzę, że jesteś pan w doskonałem usposobieniu!

— Odziedziczyłem w tym czasie gruby majątek!

— Pan!?

— Oh! Zdajesz się nie dowierzać, panie Collin-Megret! Tak, ja! Dziwi cię to? Czyżbyś nie wiedział, że Magnusowie spokrewnieni są z rodziną Villepre?

— Dowiaduję się o tem w tej chwili!

— Więc dowiedz się jeszcze, że od dziś dnia rozporządzam sumą sto pięćdziesiąt tysięcy rocznego dochodu!

— Czy być może! W takim razie nie opuszczam pana więcej!

— To niemożliwe, bankier oczekuje mnie, właśnie nadchodzi moja kolej!

— Szkoda, miałem prosić pana... oh! nie o pożyczkę, uspokój się doktorze.

— W takim razie prośba załatwiona. Mogę panu nawet wyrządzić drugą przysługę, jeżeli chcesz.

— Jaką?

— Wejdź pan przedemną, bo po mojej wizycie baron będzie wściekły. Jest to bowiem ostatni mój poniedziałek, rozumiesz?

— Rozumiem. Szczęśliwy z pana człowiek, chciałbym być na miejscu pana! Ale cicho! Oto baron!

Bankier de Bressien odprowadzał do drzwi jakiegoś klienta, nie tyle z grzeczności, ale żeby się przekonać, czy dużo jeszcze osób oczekuje.

— Ah! doktor Magnus! — rzekł z lekkiem zaniepokojeniem — proszę, wejdź pan!

Doktor Magnus Villepre powstał bez zbytniego pospiechu i szepnął, przechodząc, do Collin-Megreta:

— Szkoda, nie udało się! Załuję cię, mój przyjacielu, ale widzisz, że nie mogę inaczej uczynić! Do widzenia! Będę wkrótce u pańskiej miłej sąsiadki, modystki!

— Właśnie o to chciałem prosić pana doktora — odrzekł pan Collin-Megret.

W kilka minut po wyjściu doktora, do poczekalni wbiegł Andrzej Delrue.

— Dobrze, że pana jeszcze zastaję! — rzekł pospiesznie.

— Sądziłem, że przychodzisz pan dla barona.

— Nie, nie! Chciałem się z panem widzieć, a wiedziałem, że tu dziś będziesz.

— Ale, ale, panie Delrue! Muszę panu pogratulować! Czytałem wczorajsze dzienniki! Ma pan dar specyalny do prowadzenia umów z apaszami i rozwiązywania ich następnie bez szkody dla siebie! Całe szczęście, że pani Wiktorya zajęła się tą biedną dziewczyną, bo może w braku pana na niej by się zemścić chcieli!

Andrzej Delrue spojrzał z podziwem na pana Collin-Megret.

— Chce pan kłamstwem wydobyć ze mnie prawdę — rzekł ironicznie — ale to się panu nie uda. Może to ta mała opowiada takie nieprawdopodobne historye?

— Zazwyczaj lubię sam się informować — odparł niedbale pan Collin Megret — szczególnie kiedy rzecz warta jest tego trudu.

— Śledziłeś mnie pan? — wybuchnął z wściekłością Delrue.

— Może.

— Panie Collin-Megret, do czego pan zmierza właściwie? Czy ja się mieszam w pańskie sprawy? Czyż nie jesteśmy sprzymierzeńcami?

— Tak, ale pod warunkiem, że każdy znajdzie w tem swój interes.

— A więc mów pan; pięć a pięć jest dziesięć!

— Nie, bo dwa razy dziesięć jest dwadzieścia.

— Jakże to? Ta suma była umówioną!

— Warunki dnia wczorajszego mogły zmianie uledz. Ja patrzę jasno, Delrue.

— Ale słowo pańskie.

— Możesz je zatrzymać!

— Stawiasz pan sprawę na niemożliwym gruncie!

— To trudno! Za wielkie ryzyko na tak małą sumę.

— Spróbuję gdzieindziej.

— Nie wiem, czy to się uda, panie Delrue. Zapominasz o kwicie, który znajduje się w kasie, tu, obok. Zresztą mogę pomówić z hrabią Henrykiem de Kermor.

— Strzeż się pan barona! On umie się mścić!

Groźba nareszcie poskutkowała. Pan Collin-Megret przybrał dobroduszny wyraz twarzy i rzekł pojednawczo:

— No, niech będzie piętnaście tysięcy i nie mówmy o tem więcej, bo widzi pan, trzecią część z tego muszę dać doktorowi Magnusowi.

W tejże chwili drzwi od kancelaryi otworzyły się z trzaskiem, przepuszczając doktora, nerwowo coś nucącego pod nosem, za nim zaś szedł bankier ze zmienioną, apoplektyczną twarzą.

— Poczekaj, kanalio! Przychwycę cię jeszcze! — mruczał baron, patrząc z wściekłością za odchodzącym.

Baron de Bressien przebył ciężką przeprawę w kancelaryi swojej z doktorem Magnusem, znanym w wielkim i małym świecie Paryża, bywalcem, lekkomyślnym graczem i człowiekiem bardzo elastycznego sumienia. Namiętność do gry, a właściwie do wygrywania, doprowadziła tego zdolnego i sławnego pomimo wszystko lekarza do tego, że, jak wielu innych, wpadł przez nieostrożność w ręce barona, którego baczniej obserwacyi nie uszły artystyczne malwersacye jego przy zielonym stoliku. Za milczenie musiał doktor podpisać „pewien niewinny papierek" i odtąd stał się jednym z najpunktualniejszych klientów na recepcyach poniedziałkowych bankiera.

(Ciąg dalszy nastąpi)





Z gorących czasów: Okopy pod Jarosławiem.



Szlakiem bojowym Legionów: Kuchnie polowe w Karpatach.

Kronika tygodniowa.

Mamy więc deszcz, o który tak prosiliśmy gorąco, nawet więcej, niż go potrzeba. Zadeszczyło się nie w porę, bowiem w czasie żniw, ale to już nie nasza w tem wina, lecz, o ile mi się zdaje, referenta niebieskiego od pogody. Wszyscy oni jednacy, żadnemu się nigdy nie spieszy.

Pod pewnym względem jest to zresztą łatwo zrozumiałe, iż nasze prośby o deszcz zostały tak załatwione, trzeba bowiem pamiętać, iż z ziemi do nieba jest bardzo daleko (szukałem w encyklopedyi, jaka odległość w kilometrach, nie mogłem jednak znaleźć), głos zaś, jak wiadomo, o ile nie natrafi na żadną przeszkodę w drodze, potrafi ujechać trzysta trzydzieści metrów na sekundę (Głos Narodu posuwa się jeszcze wolniej!). Wiele więc czasu potrzeba, zanim petycya mieszkańców ziemi dostanie się na właściwe miejsce.

Przypomina mi to anekdotę, jaką opowiadają o ś. p. Machaczku, proboszczu w Nowym Sączu.

I wówczas panowała ogromna posucha, odbywały się też procesye błagalne, o deszczu przecież ani słychać. Także i protestanci, którzy w Sączu mają swój zbór i pastora, urządzili w tym celu nabożeństwo i, o dziwo, zanim się ono skończyło, lunął deszcz, jak z cebra.

Wieczorem, gdy się nieco wypogodziło, wyszedł ksiądz Machaczek na przechadzkę i spotkał się z pastorem, z którym żył w przyjaźni.

— A co? — woła pastor — Kogo Pan Bóg lepiej lubi, katolików, czy protestantów?... Od czasu waszej procesyi upłynęło już przeszło dwa tygodnie, a deszczu niema, nasze nabożeństwo ledwie się skończyło, już pada!

— Słuchaj! — ksiądz Machaczek mu na to — Chodziłeś ty do gimnazyum?

— Naturalnie!

— A uczyłeś się fizyki?

— Myślę!

— To chyba wiesz, z jaką chyżością głos posuwa się w powietrzu. Trzysta trzydzieści metrów na sekundę. Daleko z ziemi do nieba?

— Pewnie!

— No, to widzisz!... Ten deszcz, który teraz padał, jest właśnie tym, o który my przed dwoma tygodniami prosiliśmy, wasz będzie dopiero za dwa tygodnie!

I w ten sposób go przekonał, ja zaś, przytaczając ten przykład, przekonałem, sądzę, Szanownych Czytelników.

Gdy taka prośba o deszcz dostanie się do nieba, kierują ją najpierw do dziennika podawczego, gdzie zostaje zaciągniętą do rejestru, otrzymuje swój numer, a następnie naczelnik biura przydziela ją odnośnemu referentowi. Tutaj, zupełnie tak samo, jak w naszych biurach, musi się na biurku należycie odleżeć, im więcej bowiem papierów, tem urzędnik na ich tle poważniej wygląda.

Mając cały stos różnych spraw, pan referent, czy to ziemski, czy niebieski, zastanawia się co kilka dni, z której zacząć strony załatwianie, z prawej, lewej, lub może ze środka?... Decyzya jest bardzo ważna, trudno więc, by ją powziąć zbyt porywczo. Akta, jako spisane na papierze, są *eo ipso* bardzo cierpliwe, leżą więc spokojnie dalej, a referent wciąż się zastanawia nad owem powzięciem decyzyi: z tej, czy z tamtej strony.

Wreszcie przychodzi urgens, któremu się także z zasady nie bardzo spieszy, odnośny akt znajduje się więc na samym wierzchu i rozpoczyna się poszukiwanie za *priorami*, bo bez nich żaden stateczny urzędnik sprawy załatwić nie powinien. Odbywają się więc wędrówki do registratury, połączone z odwiedzinami kolegów w innych biurach, czasem pod tym pretekstem maleńka wycieczka do miasta.

Tak się przynajmniej dzieje na świecie, w naszych urzędach rozmaitej kategoryi.

Dlaczego zaś potrzeba *priorów*, postaram się to także wytłumaczyć.

Był raz pan radca, który „kawałki“ przydzielał referentom, a potem, załatwione aprobował i na tem zasadzała się cała jego czynność urzędowa, za którą od władz przełożonych zbierał ciągłe pochwały. Służbistą był on w każdym calu, prawdziwym wzorem biurokraty.

Zdarzyło się, iż do jego biura przydzielono młodego, a zdolnego na prawdę referenta, któremu, jak to powiadają, robota paliła się w rękach. Pan radca nie był przecież z tego zadowolonym, twierdząc z całą powagą, iż „co nagle, to po dyable“, urzędowe kawałki powinno się załatwiać powoli.

Gdy referat gotowy przedłożył do aprobaty, pan radca, podsuwając okulary na czoło, pyta poważnie:

— Hm! A gdzie *priora?...*

— Panie radco — odpowiada zagadnięty — do tej sprawy żadnych niema *priorów!*

— A ja panu powiadam, że, dopóki *priorów* nie przeglądnę, nie podpiszę!

— Skąd je mam wziąć?

— Bierz pan sobie, skąd się panu żywnie podoba, ale muszą być!

To powtarza się raz i drugi, młody referent się złościł po cichu, stary radca głośno.

Wreszcie zlitował się nad niedoświadczonym urzędnikiem stary kancelista, który od lat kilkudziesięciu pełnił swe funkcye przy boku pana radcy, wziął go też na bok i mówi:

— Panie doktorze! Radcy trzeba dać *priora*, bo bez nich stanowczo nie podpisze!

— A skąd je wziąć?

— Z registratury...

— Do tej sprawy niema żadnych *priorów...*

— E... Jakoś się je znajdzie! Niech pana doktora o to nie boli głowa. Proszę mi dać referat, już ja to sam załatwię!

Nazajutrz, zaraz rano, wzywa pan radca referenta.

Młody człowiek zastaje go przy biurku, z miną widocznie zadowoloną, przed nim referat podpisany i cały stos zakurzonych aktów, wysokości, co najmniej pół metra.

— No! — odzywa się radca — A widzi kochany pan, że *priora* się znalazły!... Trzeba tylko mieć dobre chęci! Tak się powinno urzędować, jeśli się chce sprawę uczciwie i porządnie załatwić! Przeglądnąłem sobie *vor-akta* i zaraz mi było jasnem, o co chodzi... Proszę sobie zabrać referat i akta...

Młody człowiek zabrał wszystko, a przechodząc przez pokój, w którym urzędował kancelista, zapytał:

— Skądże pan wytrzasnął te akta?

— Skądżeby, z registratury...

— A ja ich znaleźć nie mogłem...

— Trudno było! Niech pan doktor popatrzy, one odnoszą się do innej zupełnie sprawy. Myśli pan, że radca bodaj okiem na nie rzucił? Tak samo zawiązane sznurkiem, jak mu je wczoraj wieczorem na biurku położyłem... Ale *priora* muszą być!...

Wracajmy jednak do *meritum* rzeczy.

I nasz referent wynalazł wreszcie *priora*, przyniósł je do swej kancelaryi i położył na biurku, nie bardzo przecież się spieszył z wertowaniem, gdyż, jak twierdził, czuć je stęchlizną, co go drażni i powoduje katar i kichanie. Muszą się więc troszeczkę przewietrzyć...

Gdy się to już stało, a stało się, gdy nadszedł drugi urgens, referent zabrał się do wentylowania sprawy, zaczął czytać akta, wreszcie, po długich a dolegliwych cierpieniach, popełnił referat i przedłożył go przełożonemu do aprobaty.

Ale temu się zbytnio nie spieszy nigdy, jest on tego samego zdania, co ów legendowy radca „z *priorami*“, o którym wyżej była mowa. Wielkie rzeczy tworzą się pomału, a ważne sprawy załatwiają się powoli. Że zaś każda sprawa jest ważną, nawet taka, która idzie *ad acta*, należy się jej pozwolić znowu odleżeć na biurku, zwłaszcza w tych czasach, kiedy gazety tyle ciekawych wiadomości przynoszą z pola walki.

Gdy się zbierze w ten sposób więcej „kawałków“, podpisze się je za jednym zamachem, bo i któżby się męczył czytaniem, zwłaszcza, że ci referenci piszą tak niewyraźnie, a pan aprobant, jako starszy człowiek, ma wzrok osłabiony...

Stąd akt, jako już załatwiony, idzie do ekspedytu, gdzie piękne rączki pięknych panienek przepisują go na maszynie, ale i im się nie bardzo spieszy, każda bowiem pamięta zdanie, wypowiedziane ongiś przez św. Biurokracego: „Spiesz się powoli!“...

Dodajmy do tego czas jaki potrzebny jest na wyekspedyowanie pocztą, lub doręczenie przez woźnego, zwłaszcza, jeśli adres jest niezupełnie dokładny, a otrzymamy potężny okres czasu, podczas którego interesant mógł już zapomnieć, że wogóle wnosił jakąś prośbę lub petycyę...

Jeśli więc tam dzieje się tak samo, jak tutaj, to jest, jeśli prośba mieszkańców ziemi o deszczowe opady musi przejść podobny alembik urzędowy, zrozumimy łatwo, pomijając już oddalenie ziemi od nieba, iż załatwiono ją jeszcze dość wcześnie. Prosiliśmy o deszcz w maju, mamy go już w sierpniu.

Teraz zacznijmy starania o pogodę, a będziemy ją mieli na pewne w październiku!

Następstwem deszczu było wystąpienie Wisły z brzegów. Gdy to zobaczyła stara Rudawa, której koniec już zasklepiono, powiada sobie:

— Jej wolno, a mnie może nie?

I to rzekłszy, dalejże występować z brzegów, zalewać Błonia, park Jordana, Oleandry, piwnice... Kto tego roku nie miał pieniędzy na wyjazd nad morze, znalazł bardzo dobrą sposobność brodzenia po wodzie. Wystarczyło pójść pod Sokoła, tutaj zdjąć buty, jeśli się je *nota bene* jeszcze ma i zabawa gotowa. Ja zrobiłem tak samo i dziś mam katar, spodziewam się też, że z tego powodu otrzymam zapomogę z funduszu, mającego być przez Wysoki Rząd za staraniem magistratu przeznaczonym dla osób, dotkniętych w jakikolwiek sposób powodzią. Na pierwszem miejscu postawiono wprawdzie kamieniczników, a na drugiem dopiero lokatorów, myślę przecież, że tamci nie wezmą wszystkiego i że dla mnie jeszcze coś zostanie.

Odczyściło się też w ten sposób śmierdzące koryto Rudawy i wytopiły na zmartwienie fizykatu bakcyle choleryczne i tyfusowe,

Dawniej należało jej oszczędzać, z powodu braku, teraz z powodu nadmiaru. Szkoda, że lubiący gasić pragnienie nie otrzymali subsydyów z funduszów miejskich, by mogli wodę zastąpić, bodaj na razie, piwem.

Najbardziej dokuczyła powódź jednemu z mych znajomych, który mieszka niedaleko Błoń, a okna i balkon ma zwrócone na kopiec Kościuszki.

Onegdaj spotykam go już o ósmej wieczór, idącego do domu.

— A czegóż to radca dobrodziej dzisiaj tak wczas do domeczku? Może jakaś niedyspozycya? — pytam.

On zaś na to:

— Żeby, panie łaskawy, tę powódź dyabli wzięli! Człowiekowi źle się robi. Wyjdę na balkon, woda, wyglądnę przez okno, woda! A ja, panie, prócz do mycia, wody nie używam. Do tego ulicę zalało, musi człowiek bawić się w baletnicę i po desce iść do domu, a przyzna pan łaskawy, że przy mojej tuszy łatwo stracić równowagę... Brr! Aż mnie ciarki przechodzą, gdy sobie wspomnę, że człek może wpaść do wody i w niej się utopić. Wobec tego wracam do domu wcześniej, gdy jeszcze jasno i pijam wieczór o pięć bombek mniej, by mnie przypadkowo nie zamroczyło!

— To i w piwnicy musi radca mieć wodę?

— Naturalnie! Jakżeby się bez niej obeszło...

— Mógłbym w takim razie polecić panu pewnego młodego człowieka, który wynalazł znakomity sposób osuszania piwnic... Podał nawet już o patent! Swojemu ojcu tak w czasie nieobecności osuszył piwnicę, iż stary jej nie poznał nawet po powrocie! Co do utopienia się, o to niechaj się radca nie obawia. Przysłowia nie kłamią.

— Jak pan to rozumie?

— Tak, jak ów filozof, który kiedyś tam napisał, czy powiedział: „Co ma wisieć, nie utonie!“...

— Hm! To ładnie mi pan życzy!

— W każdym razie, kochany radco dobrodzieju, lepiej skończyć „wysoko“, niż zbyt mokro!

— Racya!... Chodź pan wobec tego na bombkę...

Jak zwykle w takim razie, z jednej zrobiła się druga, bo to „dobre twoje, dobre i moje“, potem trzecia, znalazła się kompanijka i wrócił człowiek do domu lekko „zalany“, radca zaś, bojąc się o całość swej osoby, a nie dowierzając swym zdolnościom tańcowania po desce, pojechał do domu fijakrem, klnąc, na czem świat stoi, tych inżynierów, którzy nie wyewakuowali w swoim czasie Rudawy hen daleko poza Kraków, skądby nam już na złość robić nie mogła.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a b
b d e
e k k k k
ł ł ó
ó r r w y

Znaczenie wyrazów: 1. Przyrząd kuchenny. 2. Wehikuł wodny. 3. Skorupiaki morskie.

Równanie.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, a w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{2} + \frac{b}{2} + \frac{c}{3} = x.$$

$$\frac{m}{2} + \frac{n}{2} + \frac{o}{3} = y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Dopływ Wisły. b) Imię męskie. c) Polski poeta. m) Wyrób z żelaza. n) Polski ekonomista. o) Część pościeli.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię żeńskie. 3. Inaczej twierdza 4 Część świata 5. Stolica Anglii. 6 Przeciąg czasu. 7. Naczynie. 8. Dopływ Dunaju 9. Dwie spółgłoski. 10. Spółgłoska.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko współczesnego polskiego literata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Przesłuchanie. 3. Skamieniałe owady. 4. Figura geometryczna. 5 Stanowisko artyleryi. 6. Imię żeńskie. 7. Malarz francuski 8. Narzędzie gospodarskie. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zagadka.

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Nie jest to istota żywa,
Gdyż się nigdy nie odzywa,
Choć ma język! Ma dwa ucha,
(Częściej jedno), lecz nie słucha,
Ma skórę, lecz nią nie czuje,
Nie wącha, chociaż ma nos,
Wiecznie tylko podróżuje...
Dziwny to zaprawdę los!

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy pseudonim polskiego powieściopisarza (imię i nazwisko).

□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór fantastyczny. 2. Ryba. 3. Południowe drzewo. 4. Miejsce szczęśliwości 5. Postać ze świata fantastycznego. 6. Zjawisko świetlne. 7. Roślina o charakterystycznym zapachu 8. Członek rodziny. 9 Delikatne pierze. 10 Inaczej ryba 11. Część głowy. 12. Naczynie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Żyd bierze krok po sęk biesa.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

GABR. RYDEY.

KAROL B. ZIBETI.

ROMAN A. PIATOK.

NATAN D. Y. DE TRYBING.

ROMAN KAMIL Z. TYSZYCKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Stan Przybyszewskiego:* **Mocny człowiek.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Łamigłówka:

S a ł a t a
D o r o t a
W s c h ó d
K a r e t a.

Szarada: Odzyskana Galicya

Zadanie królewskie:

Wierzyć kobiecie jest to siać na skale,
Wiatr dłonią chwytać, morskie orać fale.

Logogryf:

A
o d a
K o w n o
K a w e c k i
Z a k o n n i c a
A d w e n t o w i c z
K a r ł o w i c z
b ł a w a t y
ś l i w a
a c h
z

Równanie:

Tarok + Paderewski + Mateusz = **Tadeusz**
Konrad + Nowa**czyński** + Kraszew**ski** = **Konczyński.**

Łamigłowka:

A l e
l i s
I t o
E w a
r o k
o s a.

Przysłowiówka: Czem dalej w las, tem więcej drzew.

Kwadrat magiczny:

T a r a
A r o n
R o p a
A n a m

Zadanie kółkowe: Niech każdy w swojem kółku czyni, co każe duch Boży, a całość sama się złoży.

Szarada: Papacha.

Łamigłówka: Stanisław Orzechowski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, J. Wojciechowski Rzeszów, Z. Bartmańska Gmunden, S. Milski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Topolnicki, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Nowe książki. W ciągu bieżącego miesiąca pojawiły się w obiegu nowe dwie książki, związane treścią z historyą i czynami naszych Legionów, a to książka Sieroszewskiego pod tytułem „Józef Piłsudski" i Julinsza Kadena „Piłsudczycy". Obie książki, wydane starannie nakładem Naczelnego Komitetu Narodowego, obfitują w liczne ryciny, a cena ich przystępna. Nabywać je można w sklepie Ligi Pań w Krakowie i w księgarniach. Powiatowe i miejscowe Komitety Narodowe winny je zamawiać w Składnicy Departamentu Organizacyjnego w Krakowie.

Kącik humorystyczny.

Mądry Jaś.

Jaś (czytając głośno ojcu gazetę): Anglicy postanowili wygłodzić swych nieprzyjaciół... (po chwili) Ale ja się tego tatusiu nie boję! U nas każdy żołnierz ma przecież swą kucharkę, to ona nie pozwoli mu zginąć z głodu...

Dobra rada.

Gruby pan kupił od cienkiego kolportera gazetę, przegląda ją i rzecze:

— Co?... Wzięliśmy tylko dwa tysiące jeńców i dwa karabiny maszynowe?... To mało! Stanowczo mało!...

A kolporter mu na to:

— Kup dobrodziej drugi egzemplarz, to będzie dwa razy tyle!...

Ma racyę.

— Więc ty mojej przysiędze nie wierzysz?... Cóż to?... Myślisz, że ja jestem może Włoch?

Westchnienie żołnierza.

— W tej wojnie to człowiek powinien się starać o to, by być zranionym tylko w jedną rękę, bo czemże będzie się potem drapał?...

W buduarze.

— Od ciebie, poruczniku, zależy, byś pozyskał mą miłość i zrobił mnie szczęśliwą!...

— Ciekawym, w jaki sposób?

— W najprostszy! Staraj się tylko bogato ożenić.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.